

Syndrom magazyniera

Jak to już w życiu bywa, większe zmiany zwykle skłaniają człowieka do refleksji i remanentów. Właśnie szykuję się do grubszej demolki. Nie, nie, spokojnie, nie w życiu. W domu, ale to prawie to samo. Bo jak nie dostanę przy tym nerwicy, czy objawów maniakalno-depresyjnych to mi ręce od sprzątanania odpadną. Tak czy siak, na bank remont odbije się niekorzystnie na moim zdrowiu i ja już to wiem, ale jako żem optymistka, niespecjalnie się tym przejmuję. Wcześniej celowo w liście schorzeń nie wymieniłam stanów lękowych, bo do tego mi wcale nie potrzeba remontu. Wystarczy mi sama perspektywa.

Otóż od jakiegoś czasu z przerażeniem wchodzę do piwnicy. Wszystko przez to, że w domu lubię mieć raczej pusto i schludnie, w związku z tym wszystko, co mi zaburza wewnętrzną harmonię w szybkich abcugach wylatuje do piwnicy. Weźmy na przykład taki słoik po ogórkach. Wpierw ląduje na półpiętrze, gdzie stoi już sporo innych rzeczy typu gaśnica bez przeglądu, śniegowce do wyboru do koloru, trzy miotły o różnym stopniu zużycia i krajalnica do wędlin, której używałam w Wielkanoc, i która czeka aż ktoś się ulituje i wyniesie ją na regał w dalszej części piwnicy.

Ale to nie takie proste, bo w międzyczasie na jej miejscu wylądowało pudło z ozdobami na choinkę, które już wcześniej swoje na półpiętrze odstało, bo na miejsce pudła wpakował się paradny serwis na dwanaście osób używany jeszcze bardziej od święta, bo stół to ja mam maksymalnie na osiem, a jak robię party stojące, albo grill to wtedy nie wyciągam serwisu. W sumie nawet nie wiem na co mi taki serwis, ale jest.

Ale wróćmy do naszego słoika. Otóż stoi sobie taki słoik i spokojnie czeka na zmiłowanie. O ile w międzyczasie nikt się o niego nie potknie i ów dotrwa w całości do dnia, w którym nie będzie się dało wziąć zakrętu na schodach, wtedy zostanie

przeniesiony. I tu opcje są dwie, bowiem po drodze mam worki do segregacji śmieci. Rzecz jasna losy słoika zależą od mojego nastroju, bo jak jestem zła, to od razu fru go do worka, a jak mnie weźmie na litość, to wynoszę go dalej.

Zwykle wtedy ponosi mnie fantazja w postaci wyrazistej wizji przyszłych przetworów owocowo-warzywnych, choć ostatnie robiłam jakoś rok po ślubie. Wtedy nasz słoiczek będzie jak znalazł. Bo zawsze tak jest, że jak potrzeba coś wsadzić do słoika to słoika nie ma. I tak oto nasz bohater trafia za tak zwane „trzecie drzwi”, co w domowym grypsie oznacza przesuwaną, dzieloną na trzy części ściankę oddzielającą pomieszczenia, które nadają się do pokazania ludziom, od tych, które się do tego nie nadają i nawet przy rewizji z ABW sąd musiałby wydać osobny nakaz, bym wpuściła kogoś w te domowe kazamaty.

Poza mną, absolutnie nikt nie wie, co tam jest i jeszcze się nie zdarzyło, żeby poza mną, ktoś tam coś znalazł. Czasem mój mąż ma szczęście i na coś natrafi przypadkiem, ale on często tak ma, więc nie psuje całości statystyki. Jako że nie wiem czy posiadam już jakieś słoiki, szykuję nowe pudło na szkło. Umieszczam w nim dwie zakręcane butelki po occie i ze dwie z wina, do których ponownie dało się wetknąć korek.

Mąż niedawno coś wspominał o zakładaniu winnicy, więc kto to wie... Wychodzę z trudem, bo właściwie nie ma gdzie nogi postawić i margam pod nosem, że dziada i baby jeszcze brakuje. Oczywiście obiecuję sobie, że kiedyś zrobię totalną czystkę. Wiem, na bank wiem, że mam minimum trzy wtyczki do przedłużacza od kosiarki. Kupiłam rok temu jedną, ale potem znalazłam jeszcze dwie, ale gdzie? Przedłużacz właśnie wysiadł, pół trawnika nieskoszone.

– Kochanie nie widziałaś gdzieś wtyczki?- pada pytanie.

Chwilowo udaję, że mnie nie ma i nic o wtyczkach nie wiem.

– Że co? Wtyczka? Jaka wtyczka? Zarobiona jestem.

Równy palę głupa ale mój mąż dobrze mnie zna 😊

Jak to dobrze, że Castorama blisko i remont też. Dobrze, że skończyłam pisać książkę, bo przed remontem czeka mnie wyzwanie niczym sprzątanie stajni Augiasza. Niestety nie mam w pobliżu nawet rowu melioracyjnego, a co dopiero rzeki, więc nawet nie chce myśleć ile przy okazji znajdę wtyczek, pędzli i innego badziewia.

Ostatnia czystka w piwnicy miała miejsce jedenaście lat temu, więc sami rozumiecie moje stany lękowe, gdzie spisek przeciw mojej osobie wężę na każdym kroku. Wczoraj byłam u mamy i trochę ją zrugłam, że ma bałagan w kuchni na blacie. Jakieś puste butelki, słoiki, pojemniki. Poznaję znajome zakrętki od wielkanocnego chrzanu, śledzi i sałatki.

– Mamuś, po co to trzymasz?

– To przecież twoje. Trzymam dla ciebie wszystkie słoiki. Weź sobie, na pewno kiedyś się przydadzą 😊

Ciemną nocą. Kucharki rządzą światem.

Kucharki rządzą światem

Iza: Jesteś?

15 minut później...

Iza: No jesteś durna babo?

10 minut później...

Jagna: Jestem, ale tykhiuehoaiu

Iza: Co kurde?

5 minut później...

Jagna: Już jestem, sorry, sos mi kapnął z łyżki jak ci odpisywałam i musiałam wytrzeć. Widocznie coś tam powciskałam na klawiaturze.

Iza: Co ty tam wyprawiasz? W kuchni działasz?

Jagna: No działałam, robię ramen na bloga. Sto miseczek rozstawionych po blatach, pierdolnik totalny, kuchnia wygląda jak nieboskie stworzenie.

Iza: O za japońszczyznę się wzięłaś? ☐ I co na to rodzina?

Jagna: Oczywiście stoją i przebierają nogami.

Iza: Moi mi ostatnio powiedzieli, że są bardzo zadowoleni z tego, że prowadzę bloga. Twierdzą, że zdecydowanie im odpowiada aktualna częstotliwość i jakość żywienia ☐

Jagna: No ja myślę, kopertki z jabłuszkami na przykład były mega ☐

Iza: Wchłonęli w pięć minut ☐

Jagna: Poczekaj chwilę!

Dziesięć minut później...

Jagna: Sorry, znów zniknęłam. Ale musiałam ramen ratować. Rzucili się, do gara, jak dzikusy a ja z tobą gadałam i nie zdążyłam zdjęć zrobić. Odpędziłam towarzystwo i zabrałam się za pstrykanie fotek.

Iza: Moi już wyszkoleni. Mąż wpłynął do kuchni na fali zapachów ogórkowej. Talerz z parującą zupką stał na stole i sobie pachniał rozkosznie...

Jagna: Weź, bo się ślinię ☐

Iza: Dobra, skup się na akcji a nie na zapachu ☐ Mąż podszedł powoli do talerza i tak od niechcienia musnął palcami jego brzeg. I tak nieśmiało stanął obok z cielecym uśmiechem. To się uprzejmie zapytałam, czego chce. A on tak jakby berecik mnąc w rąsach spojrzął na talerzyk i siada grzecznie przy stole wbijając spojrzenie w ogórkową. To uśmiechnęłam się uprzejmie. A on tak mlasnął wymownie i zapytał: Zrobiłaś już zdjęcia? Wyszły? Można jeść?

Jagna: HA HA HA ☐ Biedni są ci nasi ukochani ☐

Iza: Ważne, że szkoleni.

Jagna: Dokładnie! Właśnie podsłuchiłam moich. Szepczą do siebie siedząc w salonie. „Poczekaj, zaraz matka zdjęcia zrobi, to będzie kolacja!”, „Ale tato, głodna jestem!”. „Cicho bądź! Już kończy!”

Iza: Ręka, która rządzi miłą rządzi całym światem ☐

Tornado 5

Nowa buda.

Ten kto naprawdę szuka, ten znajdzie nawet mrówkę na pustyni Gobi. Tym razem alarm już nie był fałszywy. Po tygodniu karkołomnych i pełnych zapału poszukiwań, pieseczek już w domu. W całej rodzinie i wśród znajomych, wzruszeniom pomieszanym z ekscytacją oraz niedowierzaniem, nie ma końca. Nikt nie wierzy, że udało się nam znaleźć psa. Nawet jasnowidz

się zdziwił.

Mąż na fali szczęśliwego odnalezienia, od nowa zapchlonego zbiega, niczym dziki, dostał szwungu do malowania, więc chwycił za pędzel i machnął psu tę nową budę na mahoń, żeby pasowała do ogrodzenia.

Cudownie. Pełnia szczęścia. Tylko, że pies, tuż przed wielką ucieczką został zaszczepiony przeciwko nosówce i z obniżoną odpornością przywłókł do domu anginę stulecia. Widzieliście kiedyś psa z chrypką? Ja widziałam. Tornado o mało nie przypłacił tej przygody życiem, więc zaraz po wizycie u weterynarza i końskiej dawce antybiotyku, dla pewności wpakowałam wariata do samochodu i pojechałam na komendę straży miejskiej, żeby zdjąć ogłoszenie i odwołać czerwony alarm na dzielni.

Fruwając ze szczęścia na wysokości lamperii starannie zamknęłam ówczesny pojazd i pobiegłam zdjąć ogłoszenie na komendzie. Podziękowałam funkcjonariuszom i przy okazji zdjęłam jeszcze kilka z kilkuset wiszących w okolicy ogłoszeń i z wielkim zdziwieniem zareagowałam na pętające się u mych nóg moje własne (zamknięte w samochodzie) psisko.

Kurczę, jak wylazł? Całkiem prosto. Nadepnął łapą na guzik od otwierania szyby, otworzył sobie okno i radośnie wyskoczył na ulicę. To nic, że przy okazji zjazdu na jezdnię, na całej wysokości przerysował drzwi pazurami. To nic. Naprawdę. Przecież to wielkie szczęście, że kochany piesek się znalazł, więc wybaczam i w ramach chwilowego rozpasania, w drodze wyjątku pozwalałam mu się bezczelnie rozwalić na półce nad bagażnikiem.

Później przez pięć lat nie dałam rady usunąć z niej kłaków pseudo holenderskiego wolfhund'a, ale na tamten szczęśliwy i pełen uniesienia czas, Tornado mógł nam powbijać swoje wilcze kłaki nawet pomiędzy zęby, w zupę i w nową pościel.

No ale nic, zagoniłam bydlę z powrotem do samochodu i

obiecałam sobie, że przy następnym przystanku na wszelki wypadek zamknę go w bagażniku. Niech sobie wyje. W ostatnim ludzkim odruchu szczęśliwego człowieka jednak darowałam mu ten bagażnik, ale tym razem już zamknęłam drzwi pilotem. Ech, to nie takie proste. Jeszcze nie zdążyłam kupić pomidorów na straganie, jak wyje. Właśnie się dowiedziałam, że mam w aucie alarm, bo wszystko wyje. Samochód wyje, pies w samochodzie wyje, a wokół samochodu gromadzą się zbulwersowani gapie i komentują, co to za bezduszny sukinsyn tak się znęca nad niewinnym zwierzątkiem. Zostawiłam w diabły te zakichane pomidory, chrzanić pomidory, bo za chwilę dobrzy ludzie naślą na mnie kuratora albo jakiś inny inspektorat lub aktywistów z Greenpeace lub TOZ, opublikują mój numer rejestracyjny na facebook' u i jeszcze wpakują mnie za kratki.

A pieseczek co? Na mój widok zawył z radości i łaskawie zwolnił miejsce kierowcy.

Jako że wobec powyższego Tornado zupełnie nie nadawał się na zakupy, postanowiłam wdrożyć pozostałe pomysły zrodzone w amoku wcześniejszych poszukiwań. Buda. Postanowiłam spełnić złowrogą obietnicę związaną z przymocowaniem psa do budy. Uszczęśliwiona, odpuściłam mu przyobiecany w nerwach krowi łańcuch. Uznałam, że dźwięk wleczzonego po bruku łańcucha może zaburzyć sąsiadom spokojny sen, ale za to sięgnęłam do piwnicy po długaśną parcianą taśmę, na której niegdyś asekurowałam na nartach moje dziecko.

Na szczęście mahoń już wysechł, więc przytwierdziłam psa na kilkumetrowej taśmie do ogrodzenia w bliskiej okolicy budy i poszłam do domu. Zabrałam się za sprzątanie, bo przez tydzień poszukiwań nikt z domowników nie miał czasu zajmować się czymś tak mało istotnym jak choćby podłoga w kuchni. Po tygodniu, z powodzeniem można było zostawić na niej buty, więc wreszcie, pełna dobrej energii i optymizmu, postanowiłam rozprawić się z klejącą powłoką. Jeszcze nie zdążyłam nawet sięgnąć po wiaderko, jak pies, w niewiadomy sposób odłączył się od swojej nowej budy i zameldował się w domu.

– Nie, nie, stary. Tak nie robimy- zawołałam łajdaka i po raz drugi przypięłam go do taśmy. Chyba rzeczywiście źle zapięłam zaczep.

Idę. Zatankowałam pół wiadra, a ten gad znowu w domu. Tym razem wylazł z obroży. Chyba za luźna, więc nieco dociągnęłam na regulacji. Dolałam więcej wody do wiaderka. Cap za wiaderko, zlew, akcja, szybkie ruchy, nalewam! Go! Go! Go! Znowu chwilka. Znowu wyszedł. Stoi w kuchni i bezczelnie młóci tym swoim szalonym ogonem. Czyżby obroża nadal za luźna? Dociągam. Sprawdzam. Nie, no. Więcej się nie da. Jedno z dwojga. Albo Tornado się udusi, albo pękną mu oczy. Odpuszczam.

Nauczona złym doświadczeniem i pomna traumy z poszukiwań, profilaktycznie zamykam psa w toalecie przy okazji mając nadzieję, że podstępnie nie czmychnie kanalizacją, i jak głupia pędzę do pobliskiego sklepu zoologicznego.

– Panie! Szelki! Na dziesięć kilo psa! Czerwone, żeby było widać z drugiego końca Kurdwanowa!

– Aaaa, to pani?!- Sprzedawca najwyraźniej mnie rozpoznał. – I jak? Znalazł się piesek?

– Tak. Szelki potrzebuję, na tego psa, wie pan... Gazem!

– Jasne. Proszę.

Zapłaciłam trzy dychy. Jak diabeł dobrą duszę capnęłam te szelki i pognałam do domu. W międzyczasie Tornado chyba odkrył, że toaleta służy do sikania, tak więc obficie obsiurał fajans z dwóch stron i na powitanie radośnie wytarł mokre łapy w moją sukienkę. Niczym niezrażona zdjęłam mu obrożę i założyłam mu nowe, czerwone i bajeranckie szelki. Przypięłam drania do taśmy po raz enty i pewna sukcesu zrobiłam kolejne podejście do mycia podłogi.

Jeszcze nawet nie sięgnęłam po mopa, jak za plecami usłyszałam

radosne szczeknięcie psa, który właśnie przyszedł mi oznajmić, że szelki ładne, ale też do luzu i że sprzedawca zrobił mnie w konia. Wrrr... dociągnęłam troki do momentu kiedy psu oczy o mało nie wyskoczyły z orbit, ale upewniwszy się, że da radę oddychać ponowiłam próbę przytwierdzenia go do budy na stałe i umycia tej nieszczęsnej podłogi. Tym razem stopień trudności nieco skomplikował mi sprawę, bo pies odmeldował się, jak już kończyłam myć w przedpokoju, a jego zadowolona mina wyraźnie świadczyła o tym, że jest z siebie bardzo zadowolony i oczekuje nagrody, za to, że tak pięknie uwalnia się z nowych, czaderskich, czerwonych szelek.

Nie, nie. Ja tak łatwo się nie poddam! To niemożliwe, żeby pokonał mnie pies! Nawet bardzo cwany. Zdjęłam zatem te czerwone szelki i znów pojechałam do zoologicznego.

– Do bani te szelki!- powiedziałam. – Zwracam!

Sprzedawca tylko na mnie spojrzał. Najwyraźniej świadom mojej determinacji powstrzymał się od komentarza i poszedł na zaplecze. Nie było go dość długo. W tym czasie oczami wyobraźni ujrzałam ponownie osikany wucet, ale sprzedawca niebawem wychynął z czeluści zaplecza i z miną magika zaprezentował mi to mega zarąbiste COŚ (!).

– Proszę. Z tego już nie wyjdzie- konspiracyjnie zniżył głos.
– Na szelkach tego typu prowadzi się w cyrkach tygrysy. Przysięgam, żaden, nawet najsprytniejszy kotowaty się z tego nie wywinie. Tym bardziej pies, bo widzi pani...itd.

Taaa. Terefere. Za pierwszym razem zdążyłam umyć jedynie umywalkę w łazience. W drugim podejściu, nie zdążyłam nawet dojść do łazienki.

Moi Drodzy. Uwierzcie, że ostatnie lata z życiorysu Tornado nie zaliczały się do nudnych, a nowiutkie szelki dla tygrysa, po dziś dzień wiszą sobie spokojnie w garażu. No i cóż..., spokojnie sobie czekają aż kiedyś adoptuję jakiegoś tygrysa

pierdołę 😊

CDN

Tornado 4

Wielki odlot cz 2

W końcu trafiłam na konkretny ślad. Udało mi się dotrzeć do młodzieńca, który w pierwszą noc przenocował u siebie naszego zbiega. Zaraz zaangażował w akcję okoliczne dzieci. Dzieciaki od razu wynegocjowały u mnie wycieczkę do zoo w zamian za znalezienie psa i w sekundzie rozpiezchły się między blokami. Poniedziałek. Początek roku szkolnego. Kurier właśnie przywiózł budę. Szlag by go trafił z tą budą!

Już absolutnie wszyscy na osiedlu mówią mi „dzień dobry” albo na mój widok szepczą między sobą: „To jest ta pani, co szuka psa”. Większość dzieci zna na wrywki numer mojego telefonu. Moje dzieci przejęte po całości pójdziem do szkoły chętnie by uczciły ten dzień czymś ekstra, ale ja znów do papierniczego po entą ryżę papieru i pinezki. W poniedziałek wieczorem zdjęcie Tornado znajduje się już w kabinie każdej śmieciarki i ma je przy sobie każdy listonosz. Kończy mi się koncepcja. Coraz częściej dostajemy sygnały, że ktoś widział psa, ale zanim udaje się nam dojechać na miejsce, psa oczywiście już nie ma. Coraz bardziej nabieramy przekonania, że to beznadziejne, a ludziom po prostu się myli. Ileż można szukać? Co jeszcze można zrobić? Właściwie wypadałoby odpuścić, ale im więcej się zrobiło, tym trudniej zrezygnować. A co, jeśli on rzeczywiście tam jest i ci ludzie nie kłamią? W nocy

uzupełniamy zerwane ogłoszenia. W całej dzielnicy praktycznie nie ma już drzewa bez przypiętego wizerunku Tornado. Zostały jeszcze latarnie i słupy od świateł na skrzyżowaniach. Zakaz naklejania pod karą grzywny, ale co tam. Jedziemy z koksem! Do południa wytapetowane wszystkie okoliczne skrzyżowania. No i w końcu stało się coś, co musiało się stać. Dosłownie wzięli się znikąd. Patrol straży miejskiej przydybał mnie przy ostatniej latarni.

– To pani? Matko, wreszcie! Przecież my panią szukamy już od trzech dni! Co pani najlepszego wyprawia? Przecież za to jest mandat!

– Trzy dni szukacie? Przecież na ogłoszeniu jest telefon. Wystarczyło zadzwonić.

Strażnicy trochę zbici z tropu, ale za wypisywanie mandatu się biorą.

Kurczę, tylko nie to. Co tu robić?, pomyślałam gorączkowo. Najlepiej byłoby ich wziąć jakoś na litość. No nie ma lekko. Najlepiej byłoby się rozbeczeć, ale jakoś nie idzie. Za to siorbnęłam teatralnie nosem i powiedziałam, że psa szukam, że po szczepieniu, że chory, że dzieci płaczą, że ja płaczę...

– A co to za pies!- nieoczekiwanie zainteresował się jeden.

– A taki? Nie ma pan jeszcze zdjęcia w radiowozie?- podsunęłam mu pod nos ogłoszenie ze zdjęciem.

– Taki zwykły kundel?- funkcjonariusz pewnie myślał, że szukam yorka z diamentową obrozą.

– A co się panu nie podoba?- postawiłam się ostro.

– Nie może pani wziąć jakiegoś innego?

– Nie mogę- chlipnęłam twardo.

– I jeszcze nagroda? Za takiego kundla? I pani tak płacze?

– Proszę pana, pan nie rozumie! Ja znajdę tego psa!- powiedziałam, no i w końcu na serio się poryczałam. Nerwy mi puściły i już nie musiałam udawać. Jak się pewnie domyślacie nie dostałam mandatu, a przed końcem dnia zdjęcie psa znalazło się na tablicy w komendzie i w każdym radiowozie straży miejskiej w naszej dzielnicy. Wtedy naprawdę poczułam, że zrobiłam już wszystko i miałam odpuścić, ale przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł...

Nigdy nie byłam na tyle kreatywna, by aż tak pojechać po bandzie, ale całe te szalone poszukiwania i nasza determinacja doprowadziły mnie na skraj niedorzeczności. Po konfrontacji ze strażą miejską odeszły mi tak zwane wody i poczułam, że para uchodzi ze mnie jak powietrze z dziurawego materaca.

– Jeśli jakimś cudem ten cholerny pies się znajdzie, to przysięgam, że pojadę do castoramy, kupię najgrubszy metalowy łańcuch i przypnę tego gnoja do budy! – powiedziałam przez telefon do mojego taty.

Naprawdę byłam skłonna to zrobić, ale na razie nie miałam czego uwiązać do tej nieszczęsnej budy, więc przystąpiłam do finałowej akcji.

Pozostała mi jeszcze jedna opcja do wykorzystania. Niedorzeczna i szalona, czyli jasnowidz. Wierzę, nie wierzę, może coś w tym jest. Co mi szkodzi? Najwyżej zrobię z siebie wariatkę. A co mi tam! I tak już od paru dni wszyscy znajomi pukają się w czoło. Nikomu się nie przyznałam, po co mi plan satelitarny tego gigant osiedla. Nie miałam zamiaru bawić się w poszukiwania palcem po mapie Europy. Konkret. Tu jest mapa. I gdzie jest pies? Mniej więcej tak to sobie wymyśliłam i tak to mniej więcej się odbyło. Atrybuty typu szklana kula, czarny kot i tarot poszły w bok. Był tylko pewien rodzaj transu i na koniec sękaty palec wycelowany w budynek starej hydroforni niedaleko miejsca, gdzie młody chłopak udzielił schronienia mojemu psu. Wybiegłam stamtąd jak na skrzydłach, ale zanim przejechałam pół miasta i dotarłam na miejsce pies już skutecznie zdążył się oddalić. Wtedy na serio już odpuściłam. Zrezygnowana powiesiłam jeszcze pięć ostatnich ogłoszeń. Na przystanku autobusowym i na ostatnich czterech wolnych drzewach w tamtej okolicy, i wróciłam do domu. O szóstej rano zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, chyba znalazłam pani pieska. Właśnie śpi na przystanku i wygląda zupełnie jak ten z ogłoszenia...

CDN

Centrum kontroli lotów

Uwaga! Uwaga! Tu centrum kontroli lotów! Kuchenka, pralka, lodówka, zmywarka, laptop. Wszystko to lata nisko i szybko, więc muszę być czujna jak ważka, żeby pomiędzy westchnieniem bohaterki i jej niekontrolowanym szlochom odpowiednio zmniejszyć moc palnika pod zupą, żeby nie wykipiała i w czasie gdy ona (bohaterka, nie zupa) jedzie po zakupy, zdążyć sprawnie opanierować kotlety, zanim kot się rozwali czarnym tyłkiem na klawiaturze i przypadkiem uruchomi tę dziwną funkcję, która robi ekran w poprzek.

Tak, tak ... właśnie. Tak wygląda moja praca. To nic innego, jak ekstremalna praca w ciężkich warunkach i w dodatku szkodliwych dla zdrowia. A to się krzywo przycupnie, kiedy dzieci zakuwają geografie, ale nie, nie na długo, bo murowane, że za pięć minut przyjdą zapytać co to są gołoborza albo jakiś inny gnomon. Albo ile razy X musi być podniesione do potęgi N , żeby wyszło $3/4Y$ minus 5. W międzyczasie odbieram dwa telefony, bo oczywiście komórka i domowy zawsze muszą dzwonić jednocześnie.

A kręgosłup chwilowo przycupnięty skręca się w skoliozie i w tej mikrej chwili spokoju rzucam splekaną białoogłową w rozpostarte ramiona jurnego kochanka. Akcja! Akcja! Ale nieee!

Miauuu! Kot właśnie narobił do kuwety i chce mu się drugi raz ale drugi raz do tej samej zasr..., ekhm, tego kuwety nie narobi, bo nie lubi, więc się drze, jakby go ktoś ze skóry obdzierał. Posprzątać trzeba. Ech, cholera, esteta się znalazł. Jakoś nie przeszkadzają mu obgryzione skrzydłokwiaty i ziemia wygarnięta łapą z doniczek, że o głębokim podkopie

pod fikusem nie wspomnę. A i wody rozchłapanej wokół miski to też posprzątać nie ma komu. Siedzi taki czarny sierściuch i z nudów rozchlapuje wodę.

A po co? Jak to po co? Żeby sobie zrobić w kuchni odpowiedni poślizg. Najpierw szkodnik sprawdza, czy odpowiednio dużo tej wody naciapał, potem się w tej kałuży rozpędza w miejscu, by na koniec na mokrych łapach wziąć wiraż na zakręcie do salonu i efektownie z impetem wycedzić w ściankę działową pomiędzy klatką schodową a wucetem. Dobrze że jeszcze żyje i nie ma wstrząsu mózgu. A koty to miewają wstrząs mózgu? Nie mam czasu sprawdzić, bo właśnie przyszedł kurier i pies przy furtce szczeka jak wściekły. Gaszę zupę. W biegu łapię dzwoniącą komórkę i lecę po paczkę. Po drodze tłumaczę, że nie chcę kolejnego kredytu tudzież konta w banku i w międzyczasie wpadam w piwnicy w kałużę psich sików. W ostatniej chwili łapię się ściany. Uf, dobrze, że jeszcze mam wszystkie zęby, a ten kurier się mnie pyta, co tak długo nie otwieram i czy mnie przypadkiem nie obudził (sic!). Nie komentuję, tylko wracam i po drodze sprzątam piwnicę. W końcu na paluszkach podchodzę do kompa. A tu czajnik jak nie zacznie gwizdać, bo w czasie mojej nieobecności me dziatki zapragnęły pogadać ze mną przy herbatce.

A oni tam dalej w tym łóżku, a ja już zapomniałam, co robili, więc znowu przysiadam krańcem prawego półdupka i czytam, czy ona już przypadkiem nie w ciąży, ale nie. Uff... Szczęśliwie do nich też przyszedł kurier i zapytał, „co tak długo?” 😊

Tornado 2

Chrzcziny

Niedziela. Koniec sierpnia. Za kilka dni rozpoczęcie pierwszego dla moich dzieci roku szkolnego. Dojeżdżamy do domu. Z psem. Tylko jak tu wziąć do domu psa, który jest brudny jak święta ziemia, ma na sobie rekordową ilość pcheł i cały czas się czochra?

No to ja gazem do weterynarza, po coś na pchły. Na miejscu jedynie lekarz dyżurny i sklepik zamknięty na głucho a na dokładkę dyżurująca pani weterynarz prezentująca postawę nieugiętą. Nie mając wyjścia nastraszyłam dyżurującą niewiastę wizją dzieci z tasiemcem, glistami oraz inną dżumą i powiedziałam, że to będzie jej wina (sic!). W końcu uległa i sprzedała mi poza kasą psikadło na pchły i pastylkę na robaki.

No i zaczęły się jaja. Zanim trafił do wanny, pies po pierwszej aplikacji psikadła zaczął skakać na wysokość półtora metra. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby taki mały pies (na oko, jakieś dziesięć kilo psa) skakał tak wysoko. Pchły dostały bzika. Pies też. W końcu te małe cholery poległy w konfrontacji z frontline'm i można było wpuścić psa do domu. Tutaj nieoczekiwanie nastąpił zgrzyt, bowiem kot Frykas zareagował pełną obrazą majestatu i oddalił się w niewiadomym kierunku a pies (na szczęście już po kąpieli) bez pytania rozgościł się na kanapie przed telewizorem. O nie! Niedoczekanie! Sio pod stół! Do budy!

Mąż właśnie wrócił ze sklepu z miskami i karmą dla psa, a ja biegiem na allegro kupować budę do ogrodu. W końcu pies usnął, to ja po aparat, żeby mu jakąś fotkę strzelić. Ale nie, bez szans. Psi ogon żył chyba własnym życiem, bo nawet we śnie tak szybko latał, że wszystkie zdjęcia wyszły mi zamazane. I tym oto sposobem nasz pies zyskał swoje pierwsze imię, czyli

Wiatrak i nareszcie można go było przedstawić sąsiadom. Wiatrak spisał się na medal i pokazał się z jak najlepszej strony. Oczywiście gad jeden w pięć minut zyskał sobie sympatię, a sąsiedzi zaproponowali, że tego psa trzeba jakoś oblać- w sensie uczcić- i tak w dzień przyjazdu zmontowała się radosna sąsiedzka imprezka z okazji przybycia czworonoga oraz jego chrzcin.

Było miło, Wiatrak wykazał się talentem showmana i wdziękzył się jak w cyrku ale niestety nie wszystko poszło gładko, bo około północy sąsiad poddał w wątpliwość, czy to imię aby odpowiednie. No i kaplica. Mąż po przemyśleniu tematu stwierdził, że nie będzie chodził wokół domu i jak kretyn wołał: „Wiatrak! Wiatrak! Do nogi! Frykas! Do domu! Kici kici! Wiatrak!”

cdn 😊

Tornado 1

Witajcie kochani czytelnicy!

Prezentujemy Wam nową serię opisującą losy pewnego psa o wdzięcznym imieniu Tornado. Iza opowie Wam całą historię tego, zdecydowanie niezwykłego, domownika ☐

Na wakacjach przyplątał się piesek. Z oczu patrzyło mu dobrze, więc od razu się załapał na kawałek kiełbasy. Chlebem wzgardził. Plątało się to miłe stworzenie przez kilka dni, aż wakacje dobiegły końca.

W międzyczasie zauważyłam, że dzieci z okolicznej kolonii były uprzejme kilka razy podnieść go do góry za ogon, i ich nie

zjadł. Znaczący poczuł. A że mu dobrze z oczu patrzyło to w końcu, w zieloną noc zapadła decyzja, że bierzemy psa, bo ktoś musi. Nadleśnictwo po każdym sezonie organizuje odstrzał bezpańskich zwierząt, zatem nie mogliśmy pozwolić, by ktoś zastrzelił nam zwierzaka.

Mój mąż, który nigdy nie miał psa, od razu poczuł się panem i gestem właściciela usadził sobie swojego nowego czworonoga na kolanach. To nic, że pies składał się głównie z koszmarnie brudnych kłaków przypominających szczecinę na dzikiej świni oraz pcheł. Mąż długo głaskał go i przemawiał doń czule. Obiecał mu nawet, że nauczy go jeździć na snowboardzie. W końcu ścierpł i rozczarowane psisko wylądowało na ziemi. Hmm... A jak zwieje? Przecież już jest nasz... Ale dla chcącego nie ma nic trudnego. Nawet o północy. Załatwiłam u dyżurnego stajennego starą lonżę do nauki jazdy konnej, z kolei mąż udał się do baru i wrócił z pustą skrzynką po tyskim, do której uwiązał psa. Niezapomniany widok. Oczami wyobraźni zobaczyłam gnającego psa i podskakującą za nim skrzynkę po piwie uwiązaną na lonży 😊

Cóż, w końcu trzeba było położyć się spać. Niestety wszystkie drzwi w naszym domku miały niesprawne klamki, a pies ani myślał spać w przedpokoju. Przed świtem obudził mnie rozpaczliwy krzyk dziecka:

„Mamusiu! Dlaczego wpuściłaś nam do łóżka dzikie zwierzę!!!”

„Śpij! To nasz pies!” – powiedziałam i zapanował spokój, dopóki o ósmej nie wywiązała się awantura, kto ma wyjść z psem na spacer.

Już wtedy rozdzwonił się w mojej głowie dzwonek alarmowy.

Pomijając fakt, że często wyjeżdżamy i nie będzie w tym czasie co zrobić z psem, to chyba nie był najlepszy pomysł. No ale nic. Mamy psa, który za pół roku będzie zapytał na snowboardzie i wracamy do domu z wakacji...



Ciemną nocą. Katar i tulipany :)

Ciemną nocą...

Jagna: Piszesz?

Iza: Nie, dzisiaj nie bardzo mogę.

Jagna: A co się stało? Wena ci siadła?

Iza: E tam, wena to mi nigdy nie siada 😊

Jagna: No to niechciej Cię złapał.

Iza: Skąd! Full odpał i energia.

Jagna: No to już nie wiem. Gadaj w czym problem?

Iza: A żeby jeden był... sześć konkretnie.

Jagna: ???

Iza: Mąż, dzieci, koty i pies ☐ Non stop coś chcą. Głównie do żarcia oczywiście. Mam wrażenie, że żarcie z ich talerzy i misek jest zasysane centralnie do dziury kosmicznej. A Ty piszesz?

Jagna: Ha ha ha... Ja też nie. Też mam problem. Mąż chory. Czujesz?

Iza: No a jak, przecież faceci nie chorują, oni walczą o życie.

Jagna: Coś w tym jest... Poszłam dzisiaj do apteki i mówię do

zaprzyjaźnionej farmaceutki: „Poproszę coś na przeziębienie”. I chyba niepotrzebnie dodałam: „Dla męża”. A ona pyta, co mężowi jest. To ja na to, że ma katar. Ona patrzy na mnie: „I co jeszcze mu dolega?”. To mówię: „No tylko katar”. Farmaceutka spojrzała na mnie z takim wieloznacznym uśmiechem i podaje jakiś tam gripex czy inny fervex. I takim głosem – wiesz teoretycznie grobowym a w praktyce pełnym od tłumionego śmiechu – mówi do mnie: „To powinno pomóc”. Wzięłam, zapłaciłam, pośmiałam się pod nosem i idę w stronę domu. Przystanęłam na chwilę koło straganu z tulipanami. I tak stoję chwilę, z kwiaciarką gadam a tu nagle ktoś koło mnie staje i uśmiecha się od ucha do ucha. Patrząc a to znajoma farmaceutka. Widać zaraz po moim wyjściu skończyła zmianę. I tak patrzy na mnie, na te tulipany nieszczęsne i powiada tak: „A co pani tu jeszcze robi? Przecież w domu chłop umiera.” Po czym rechocząc na cały głos idzie dalej.

Iza: □

Jagna: I w końcu z tego wszystkiego tulipanów nie kupiłam. Jakoś tak niezręcznie było. A jakby mąż pomyślał, że się szykuję do pogrzebu? □

"Do trzech razy sztuka". Fragment nowej powieści Izy

Zapraszamy do lektury fragmentu najnowszej powieści Izy, która będzie miała premierę 9 czerwca. Tekst w stanie roboczym, przed korektą i redakcją 😊

„Do trzech razy sztuka”

Przyjaciółka już od progu wyczuła, że jest źle, ale nie przypuszczała, że aż tak. Wystarczyły dwa zdania, by w lot załapała, co się stało.

– Matko, czułam, że coś jest nie teges, ale nie sądziłam, że tak bardzo.

– No, pochrzaniło się wszystko – westchnęła zdruzgotana Anka.

Mąż Lucyny przebywał na konferencji, więc wyprawivszy syna do spania, gospodyni w pierwszej kolejności sięgnęła po zapasy wina. Wybrała białe półwytrawne.

– Niezłe – chlিপnęła Anka znad kieliszka.

– Kochana, w takim przypadku nie można pić byle czego. Jak już masz się wstawić, to przynajmniej czymś dobrym. Przecież wszystko naraz nie może być złe. Zaraz zamówię pizzę – powiedziała i profilaktycznie postawiła w zasięgu ręki paczkę chusteczek higienicznych.

Anka nigdy nie była beksą, ale przy takiej akcji mogło być różnie. Lucyna dwoiła się i troiła, by rozruszać przyjaciółkę, ale sama miała świadomość, że sytuacja jest beznadziejna. Przygotowania do ślubu szły pełną parą, wszystko było zaklepane i zapłacone. Sukienka wisiała w szafie. Planowanie zemsty samo w sobie było cudowne. Zemsta z zasady była rozkoszą bogów, ale jeśli Anka byłaby skłonna zastosować się do swoich pomysłów choć w połowie, do końca życia nie wyszłaby z więzienia.

– Mam ochotę go zabić. Boże, moja głowa – czknęła rano skacowana Anka.

– Może nie tak prędko? Może najpierw upewnij się jeszcze? Przecież to nie są żarty?

– Co ty powiesz – syknęła Anka sarkastycznie i nagle pobladła. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego dobrego. Wstała i biegiem rzuciła się w stronę toalety.

– Żyjesz?

– Tak! Cholerna pizza mi zaszkodziła.

– Noo, jasne. Jak długo żyję jeszcze nie widziałam, żeby ktoś miał kaca po pizzy.

– Ale ja mam mdłości – jęknęła Anka znad pistacjowego sedesu z motywem oliwek, których nie znosiła.

– Masz! Weź to pod język – Lucyna zaordynowała przyjaciółce tabletkę.

– To dla kotów, czy koni? – Zapytała Anka świadoma, że przyjaciółkę stać na wiele.

– Nie, głupia – roześmiała się Lucyna, to homeopatyk dla dzieci.

– To jeszcze mi powiedz, jak można dać zielone oliwki na desce od kibla? Równie dobrze mógłby tam być motyw schabowego z kapustą... – Anka mruknęła zniesmaczona, a Lucyna zareagowała głośnym śmiechem.

– To prezent od klienta. Niedawno robiłam jego suczce cesarkę i z wdzięczności, że wszystko dobrze poszło, sprezentował mi tę deskę. Ma jakieś studio reklamowe i robią tam różne takie zabawne rzeczy, a że pękła mi stara deska, tymczasowo dałam tę w oliwki. Lepsza taka niż zimny fajans na tyłku, no nie?

– No pewnie, a co się urodziło? – zapytała Anka przez grzeczność.

– Pięć biszkoptów.

– Czego? – Anka spojrzała na przyjaciółkę jak na wariatkę.

– Matko. – Lucyna westchnęła z politowaniem. – Biszkoptowych labradorów, sieroto.

Opowiadanie "Po drugiej stronie szyby" cz. 3

Wyjrzałem ostrożnie zza liści i badałem dno. Wyczuwałem jakąś nieuchwytną zmianę w otoczeniu i dopiero po chwili zorientowałem się, że w przedpokoju zapaliło się światło. Moja żona wróciła. Rzuciłem się w stronę mojej wypisanej czarnymi kamyczkami wiadomości. Zniknęła! Zostały po niej wyłącznie żałosne sterty żwiru. Za moimi plecami rozległ się szyderczy rechot, więc odwróciłem się gwałtownie i stanąłem oko w oko z tym porąbanym skorupiakiem. Nienawiść stłumiła racjonalne myślenie, nawet się nie zdziwiłem, że rak potrafi się śmiać i do tego złośliwie.

– Zabiję cię! – wrzasnąłem i, nie zważając na zdecydowanie większe gabaryty przeciwnika, ostro natarłem.

– Chciałbym to widzieć – odezwał się rak zblazowanym głosem.

Zdumienie osadziło mnie w miejscu. Przełknąłem siebie w roli gupika, zaakceptowałem hrabiego muchę, ale gadający rak? Mój rak? Ten sam, za którego zapłaciłem 150 złotych w sklepie akwarystycznym? Wtedy właśnie zrozumiałem, że to wszystko mi się śni i za Boga nie mogę się obudzić. Paradoksalnie, z punktu poprawił mi się nastrój. W końcu skoro to wszystko nie dzieje się naprawdę, to nic mi nie grozi.

– Od kiedy to skorupiaki potrafią gadać? A jeśli potrafią gadać, to może niech taki jeden idiota odpowie mi łaskawie, co mu przeszkadzał mój napis na piasku? – zapytałem wobec tego agresywnie i bez cienia strachu w głosie.

– Siedzę w tym tak samo jak ty, baranie – skomentował,

niezupełnie odpowiadając na zadane pytania. – Tylko, że ty możesz się stąd wyrwać, a ja nie mam szans! To se razem posiedzimy – zarechotał.

Porażony absurdem sytuacji parsknąłem śmiechem a z moich rybich ust posypały się perlister bąbelki. Do boku łasiła się samica, naprzeciw mnie stał rak i właśnie ogłaszał, że także jest ofiarą inwersji bez szans na powrót do własnego ciała, a do tego rybia brać właśnie wzmogła kotłowanie w okolicach uchylonej pokrywy. Do kuchni weszła moja żona i pochyliła się zaglądając do wnętrza akwarium. Przez chwilę patrzyła uważnie a potem sypnęła do środka szczyptę pokarmu. Gupiki zwariowały.

– Jesteś tu? – zapytała moja żona.

Zdębiałem i podpłynąłem do samej szyby a wraz ze mną cała banda ryb. Nie dało się ich odgonić. Niczym się od nich nie odróżniałem. Chciałem dać żonie jakiś znak, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Chyba kompletnie zwariowałam – powiedziała, gasząc jednocześnie światło w moim więzieniu.

Po raz pierwszy od chwili gdy tu utknąłem wodę spowił mrok. Kompletnie zdezorientowany tłukłem się pomiędzy roślinkami, po omacku próbując trafić do swojej kryjówki.

– Nie chcesz wiedzieć kim jestem? – głos dobiegł z niebezpiecznie małej odległości.

Wzmogłem czujność i nie zaryzykowałem odpowiedzi. Po cichu wycofałem się pod pierwsze zarośla, o jakie otarł się mój ogon.

– Wiem gdzie jesteś, przede mną się nie ukryjesz – rak ewidentnie się nudził.

Kuźwa, czym ja sobie zasłużyłem na to wszystko? Jakby wszystkiego było mało, mój prześladowca widzi w ciemnościach, podczas gdy ja jestem ślepy jak kret?

– Otóż musisz wiedzieć, że jestem ważnym politykiem i swoją obecną postać zawdzięczam niefortunnemu spotkaniu podczas próby zjedzenia obiadu.

Nawet najłżejszym szmerem nie zdradzałem swojej lokalizacji. Wzmianka o polityku dodatkowo wzmogła moją czujność.

– To było w Tajlandii. Podeszedł do stolika taki jeden kitajec, czy jak mu tam i zaciągnął mnie do akwarium. Przykucnąłem, zajrzałem i po chwili siedziałem już w środku. A moje ciało padło jak długie, zresztą dokładnie wiesz jak jest, więc co ci będę gadał. Co z nim dalej zrobili, to już nie wiem. Ja natomiast uratowałem się cudem. Pewnie skończyłbym na kupce ryżu, ale następnego dnia do knajpy przyszła grupa nawiedzonych akwarystów, takich łowców gatunków. Ich także kelner cholerny powiódł przed szybę i wtedy jeden z nich wskazał na mnie palcem i zaczął gorączkowo coś tam gadać. Chyba po angielsku gadał, bo nic nie rozumiałem, ale przeżegnałem się szczypcami, bo poczułem, że mój czas się kończy i zaraz wyląduję we wrzątku. Szczęście się jednak do mnie uśmiechnęło. Zapakowali mnie w foliowy worek i wręczyli temu gościowi. Ten sprzedał mnie innemu kolesiovi i dalej już poszło. W końcu trafiłem do akwarystycznego w którym mnie kupiłeś.

Na swoje nieszczęście najwyraźniej, pomyślałem i bezszelestnie odpłynąłem głębiej, do samego systemu korzeniowego rośliny.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moje ciało. Pewnie zostało w Tajlandii – głos raka przeszył nocną ciszę akwarium.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem przy korzeniu i nasłuchiwałem. Cisza, której tłem był kojący szmer brzęczyka podziałała usypiająco nie tylko na mojego prześladowcę. Odpłynąłem i śniłem.

Wstałem z fotela i przeciągnąłem się. Żona, zwinięta w kłębek na kanapie oglądała jakieś pierdoły w telewizji. Miałem na dzisiaj dość komputera. Poszedłem do kuchni po piwo.

– Nakarm ryby, dobrze? – zawołała żona z pokoju.

Otworzyłem butelkę i postawiłem ją na kuchennym blacie. Z szafki wyjąłem opakowanie wybitnie śmierdzącego żarcia dla ryb. Wsypałem odrobinę do akwarium i usiadłem na stołku. Lubiłem podglądać wodne życie zamknięte w szklanym więzieniu.

Pomiędzy gupiki wpadł rak, cholerny pasożyt i destruktor. Ryby rozpierzchły się na boki, ale jeden młody samiec nie zdążył. Niebieski skorupiak chwycił go szczypcami a ryba wiła się rozpaczliwie. Słuszny gniew we mnie zagrał i wsadziłem rękę do wody. Bacznie śledząc sytuację w akwarium manewrowałem dłonią, by uchwycić cholernika. Gdy w końcu go unieruchomiłem, ten wyciągnął w stronę szyby wijącą się rybę. W jej oczach widać było strach i cierpienie.

Koszmar ma to do siebie, że kończy się gwałtownym przebudzeniem. Wzdrygnąłem się i zassałem ogromną masę wody w próbie krzyku. Właściwie dobrze się stało, że z moich rybich ust nie wydarł się żaden dźwięk, bo dzięki temu uchwyciłem strzęp wielce interesującego dialogu.

– Wczoraj mu powiedziałem, chyba mocno nim wstrząsnęło – szeptał rak.

– Czyli wszystko przebiega według planu? – zabzyczał dyskretnie Bogdan.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję. Ściągnięcie go do środka zajęło nam dwa tygodnie. Nie wiem jak ty, ale ja czuję, że mucha nie dożyje jesieni. Kończy mi się czas.

– Rak chyba też młody nie jest, a do tego żona gupika ma teraz inne sprawy na głowie i nie czyści filtrów.

– Nie narzekaj, dobrze? To jest element planu, jakoś to przeżyjesz. Chłoptaś jest już nasz. Dobrze, że ten napis mu zniszczyłeś.

– No a co miałem zrobić? Nie może uciec za wcześnie. Najpierw musimy mu pokazać, że bez nas nie da rady uciec.

– Trzymaj rękę na pulsie. Ja wrócę koło południa. – zabzyczał mucha i odleciał.

Moje myśli galopowały. W niepojęty dla mnie sposób te dwa sukinsyny obserwowały mnie przez ostatnie tygodnie i uknuły dziwaczny spisek. Mamy być ich sposobem na ratunek. Musiałem robić dobrą minę do złej gry. Jeśli będę spektakularnie naiwny, wówczas kochani koledzy uczynią wszystko żebym uciekł. Oczywiście w nadziei, że z wdzięczności odnajdę ich ciała. Gwoli ścisłości gazety czytam regularnie i wiem, że ciało polityka sprowadzono do kraju. To jednak był ten wycinek wiedzy, którym zdecydowanie nie zamierzałem się dzielić ani ze skorupiakiem, ani ze zdradzieckim muchą. Podejmując decyzję wypłynąłem spomiędzy liści. Rzut oka na lekko rozmyty z tej perspektywy ścienny kalendarz wskazywał, że właśnie w bólach szarego świtu rodziła się sobota. Żona z pewnością spała. Rozkosznie zaróżowiona, zakopana w satynę kołdry. To dawało mi czas na działanie.

– Ej! – krzyknąłem w stronę jaskini skorupiaka.

– Czego? – odpowiedział, nieudolnie symulując głos wyrwanego ze snu niewinnego raka.

– Słuchaj, może jakoś sobie pomożemy?

Rak wyszedł przed chałupę i rozpostarł imponujące cielsko na piasku. Jego wąsy, dłuższe niż cały odwłok nieprzerwanie skanowały dno.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Znajdę twoje ciało, tylko pomóż mi stąd wyjść – wypaliłem.

Durny polityk najwyraźniej właśnie na to czekał.

– Wiesz kim jestem? – zapytał.

– No pewnie, w mediach podawali relacje z wyjazdu posła z ramienia ...

– Dobra, dobra. Cicho – wrzasnął rak. – Sprawdzisz wszystko w googlach, tak?

– Wszystkiego się dowiem, nie przejmuj się. Jest tu jeszcze taka mucha ... – zawiesiłem wyczekująco głos.

– Mucha? Jaka mucha? – zapytał niewinnie polityk w chitynowym pancerzyku.

– No hrabia Bogdan, też zamieniony, tyle że w muchę. Musiałeś słyszeć nasze rozmowy – wyjaśniłem chytrze.

– A coś tam bzycało, ale nie mam w zwyczaju podsłuchiwania, więc wybacz ...

Jasne, pomyślałem. Nie masz w zwyczaju tak jak ta cała twoja partia. A nie nagrywałeś tylko dlatego, że nie miałeś na czym.

– No tak – odparłem. – To może zreferuję w skrócie przebieg naszych rozmów. Hrabia Bogdan tkwi w ciele muchy już ponad miesiąc i niefortunnie nie ma pojęcia, gdzie zostało ulokowane jego własne ciało. Odkrył sposób jak odwrócić inwersję i ...

– Inwersję? – wtrącił obłudnie rak.

– Inwersja to zamiana tożsamości – starałem się zachować neutralny ton. – Dlatego tu jesteśmy, ale jeśli będziemy współpracować, to wydostaniemy się z tego wszyscy trzej.

– Skąd to przekonanie? – polityk podsunął sobie do otworu gębowego świeżutki liść mojego bezcennego anubiasa i zaczął go beznamiętnie przeżuwać.

– Ponieważ jako jedyny wiem, gdzie jest moje ciało, prawda? Wystarczy skomunikować się z moją żoną, ale jeśli będziesz psuł moje wiadomości, to raczej nic z tego nie wyjdzie! – odparłem z mocą.

– Bracie! – wrzasnął z entuzjazmem rak – Pomożemy!

Czując się jak na wiecu partii uśmiechnąłem się krzywo i wróciłem do konstruowania napisu. Po chwili na piasek wytoczył się fałszywy skorupiak i zaczął popychać na środek czarne kamyczki. Praca zajęła nam mniej więcej dwie godziny, ale efekt był imponujący. HELP było jeszcze wyraźniejsze, ułożone z podwójnego rzędu kamyków. Żona musiała to zauważyć.

Z rozgłośnym bzyknięciem nadciągnął hrabia i przysiadł na skraju pokrywy.

– Ach przyjacielu, cóż moje oczy widzą! – eksplodował egzaltacją.

– Witamy! – odparłem, uzbrajając się w czujność.

– Powinszować napisu.

– Nie tylko moja w tym zasługa. Proszę pozwolić, że przedstawię pana Stanisława..

– Uszanowanie! – wtrącił się rak.

– Pan Stanisław, poseł z ... – z całych sił grałem głupka.

– Niezmiernie jestem rad z tej znajomości! – znów wciął się polityk.

– Ja również i pozwolę sobie wyrazić swoją radość widząc panów poczynania. – zabrzączał Bogdan.

– Myślę, że to powinno zadziałać i wkrótce wszyscy trzej znajdziemy się w zupełnie innych okolicznościach – skorupiak akcentując słowo „zupełnie” najwyraźniej sugerował zgrabną akcję korupcyjną.

– Ja ze swojej strony z pewnością nie omieszkam panów ugościć w naszych rodzinnych stronach! – Bogdan oczami wyobraźni już dekorował sale pałacu kolorami partii.

– Myślę, że moja żona zrozumie napis, ale nie będzie wiedziała co z tym fantem zrobić. Potrzebne będą dalsze informacje. Czy macie panowie jakieś pomysły? – zapytałem.

– Drogi przyjacielu! Jeśli to nie pomoże, to wypiszemy instrukcje cukrem na kuchennym blacie, albo ponownie ułożymy informacje na piasku. Damy radę. – uspokajająco zaszemrał hrabia.

– Przyjaciele! – zaczął uroczyście rak i momentalnie umilkł.

Do kuchni weszła żona. Mucha pospiesznie umknął a rak wycofał się za kamienie. Gupiki, kompletnie nieświadome dramatyzmu sytuacji, chmarą wypłynęły spomiędzy krzaków w nadziei na sesję karmienia. Moja kobieta włączyła światło w akwarium i zamarła. Jej usta bezgłośnie się poruszały. Bez trudu wyczytałem swoje imię. Żona próbowała przeniknąć wzrokiem wewnątrz i mnie namierzyć. Po chwili poddała się z westchnieniem zawodu i nasypała szczodłą porcję żarcia. Wyszła, gasząc uprzednio światło. Gdybym miał się zakładać, to powiedziałbym, że pojechała do szpitala. Miałem nadzieję, że po moje ciało.

...

– Więc może ktoś w końcu mi powie, jakie są rokowania? – wycedziła żona Krzysztofa z całych sił powstrzymując krzyk.

Lekarz, student właściwie, taki młody dupek, któremu już zdołano wszczepić rozbuchaną godność osobistą w miejsce wiedzy, wzruszył arogancko ramionami. Gwoli ścisłości, spędził cały dzień na kuciu łacińskich cytatów, bez których nie da się parzyć kawy docentom. W efekcie nie widział żadnego pacjenta, a już z pewnością faceta o którego pytała kobieta.

– Rokowania są pomyślne! – zełgał na poczekaniu.

– Czyli?

Ze skrzypieniem przedwojennych łóżysk środkiem korytarza

przetoczył się wózek kuchenny. Porcje parówek, oblepione nabytym w niedogrzanym korytarzu tłuszczem, łypały filuternie.

Kobieta, przełykając dzielnie kompletny absurd podawania zapakowanej w podłużne folijki siekanki ściągien, oczu i mózgów osobom na ścisłej diecie, zmiażdżyła pogardliwym spojrzeniem gówniarza w szarawym kitlu. Gnój nadawał się do pożarcia i zjadliwej notki w Fakcie, ale paradoksalnie miał głos decyzyjny w sprawach życia i śmierci. Zwłaszcza tego drugiego. To sprawiło, że zmusiła twarz do przybrania wyrazu łagodnej zadumy i oczy do cieleńcego spojrzenia, które miało zasygnalizować durniowi, że jest boski, mądry i wspaniały, a mała kobietka niczego nie rozumieć i kochać mądry pan doktor z młodzieńczym trądzikiem.

– Czy męża można teraz odwiedzić? – zapytała aksamitnym głosem.

– Nie widzę przeciwwskazań – zagulgotał, choć nie miał pojęcia o kim mowa. Jak mu starsi koledzy tłumaczyli, fakt opieki nad oddziałem to sprawa umowna, a pacjentów świetnie doglądają pielęgniarki.

Żona Krzysztofa bez słowa wyminęła młodego debila, który wkrótce będzie debilem w średnim wieku a jedyną różnicą między nimi będzie tytuł naukowy tego drugiego. Korytarz był obstawiony łózkami z chorymi, którzy usiłowali skrywać dolegliwości pod przykrótkimi kołdrami – jedynym gwarantowanym przez szpital narzędziem dyskrecji. Pogodzeni z losem, co jest eleganckim określeniem umierających, pacjenci mimowolnie obserwowali kobietę. Ostatni dowód na istnienie prawdziwego życia poza murami umieralni.

Krzysztof leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała go poprzednio. Pogłaskała go po policzku. Mężczyzna zatrzepotał dłońmi i na chwilę otworzył niewidzące oczy.

...

Co chwilę zerkałem, w nadziei, że zauważę jakiś ruch w kuchni, ale nic się nie działo.

Rak wylazł i usadowił się na środku kamienia. Nie komentował, żarł liście anubiasa i od niechcienia popychał czarne kamyczki w literze H.

Milczeliśmy, choć każdy z innego powodu.

...

Ukraść wózek i dźwignąć Krzysztofa to była bułka z masłem. Przejście przez korytarz i próba przedostania się do windy też nie była tak wielkim problemem. Nawet dotarcie poza teren szpitala po wyszczerbionym podjeździe dla inwalidów było wykonalne. Zamówienie stosownej taksówki dla osób niepełnosprawnych już nie.

Po kilkunastu nieudanych próbach, żona Krzysztofa zdarła z siebie płaszcz i troskliwie owinęła nim ciało. Po czym z wysiłkiem pchnęła wózek w górę ulicy.

...

Zawsze ufałem w zdrowy rozsądek mojej żony i jej racjonalne spojrzenie na świat. Byłem pewien, że zrozumiała i próbuje mnie uratować.

– Panie Hrabio – zagaiłem, próbując zyskać na czasie. – Zechce mi Pan opowiedzieć co nieco o losach pańskiej szlacheckiej rodziny?

Wiedziałem, że taki haczyk nadęty mucha z pewnością łyknie.

– Ach, doprawdy niezmiernie jestem zaszczycony, że Pan o moją szlachecką rodzinę się dopytuje. Otóż w XII wieku nasz protoplasta Sebastian, w swej umysłu przenikliwości żupnikiem będąc ...

Bla bla bla, pomyślałem bez grama szacunku dla protoplasty

Sebastiana i niecierpliwie zerknąłem do kuchni. Gdzieś tam, na granicy słyszalności rejestrowałem kolejne perypetie krewniaków Bogdana. Mucha wyraźnie się rozkręcił i właśnie dochodził do połowy XVIII wieku. Rak trwał nieporuszony na kamieniu.

Do kuchni zakradło się światło z przedpokoju.

...

Wtłoczenie wózka do mieszkania nie było skomplikowane. Problem tkwił w kuchennych futrynach, za wąskich, by swobodnie przetoczyć staromodny wózek przez próg. Krzysztof był zbyt ciężki, by wnieść go do kuchni, więc kobieta wyjęła ze schowka dłuto, dzięki któremu zawsze przycinali na odpowiednią grubość pień choinki. Z determinacją godną słusznej sprawy przerabiała na drzazgi odporne drewno przez dobrą godzinę.

...

Hałas odłupywanych futryn był ogłuszający. W wodzie głos roznosi się zupełnie inaczej, a gwałtowne dźwięki sprawiają ból. Siedzący na brzegu pokrywy Bogdan zupełnie tego nie dostrzegał i w swoich opowieściach właśnie docierał do połowy XIX wieku.

Czekałem.

...

Przepchnięcie wózka przez żalosne wspomnienie eleganckich futryn okazało się proste i po chwili wózek znalazł się przed akwariem. Ryby jak zwykle zleciały się w nadziei na żarcie. Kobieta podeszła i chwyciwszy ciało męża za włosy nakierowała jego zamknięte oczy na zbiornik.

...

Odgoniłem samice i podpłynąłem do szyby. Wraz ze mną kotłowało się kilku innych samców, ale tym razem miałem pewność, że uda

mi się wyróżnić. Trzymałem w pysku odgryziony przez postać Stanisława liść anubiasa.

Musiała mnie poznać.

...

Jedna z ryb zaczęła wariować. Podpłynęła z liściem w pysku. Zataczała się pod jej ciężarem kręcąc w okolicach filtra dziwaczne młynki. Krzysztof.

...

Za szkłem żona strzeliła moje ciało z całej siły w pysk. Oczy ciała otworzyły się w nagłym szoku i wpiły się w szybę wyrażając bezmierne zdumienie. Schwyciłem spojrzenie i, z miażdżącym wolę życia przerażającym dźwiękiem, poszybowałem w chwilowy niebyt.

...

Powrót do ciała okazał się bolesnym doznaniem. Ciężenie sprawiło, że załkałem z tęsknoty za wodą, kończyny nie chciały mnie słuchać a do tego w całym ciele czułem ból odleżyn. Niczego nie rozumiałem. Łacińskie źródła hrabiego nie kłamały. Dopadła mnie czasowa amnezja.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie żona niecierpliwie odganiając muchę.

Skinąłem głową, starając się włożyć w gest maksimum entuzjazmu.

– To dobrze kochanie – powiedziała. – Jezu, jak mnie ta mucha wkurwia! – Moja ukochana chwyciła gazetę i pacnęła od serca owada.

Dopiero kilka tygodni później przypomniałem sobie, że ową muchą był Bogdan ale pewności nie miałem, podobnie, jak nigdy bym się nie przyznał, że byłem gupikiem. Wkrótce odzyskałem

władzę w rękach i w nogach.

Akwarium z gupikami żona oddała sąsiadowi, ale ten całkiem głupi nie był i stanowczo odmówił przyjęcia raka. Kiedyś, dawno temu dostałem w prezencie na urodziny małe akwarium wyposażone w filtr i światło. Taki zestaw dla debila i policzek dla profesjonalnego akwarysty. Zapakowałem tam skorupiaka. Zbiorniczek ulokowałem naprzeciw telewizora, który z upodobaniem nastawiam na debaty wyborcze. Niech i poseł Stanisław ma coś od życia.